

Zuzia i tajemnica Złotego Łabędzia





Mariusz Niemycki

ZUZIA  
i TAJEMNICA  
ZŁOTEGO  
ŁABĘDZIA



Wydawnictwo Skrzat  
Kraków

© Copyright by Mariusz Niemycki  
Edycja © Copyright by Skrzat, Kraków 2012  
Ilustracje i projekt okładki: Agnieszka Kłos-Milewska

Redakcja: Agnieszka Sabak  
Korekta: Sylwia Marszał  
Skład: Wydawnictwo Skrzat

**ISBN 978-83-7437-739-3**

Księgarnia Wydawnictwo Skrzat Stanisław Porębski  
31-202 Kraków, ul. Prądnicka 77  
tel. (12) 414 28 51  
wydawnictwo@skrzat.com.pl

Odwiedź naszą księgarnię internetową: [www.skrzat.com.pl](http://www.skrzat.com.pl)

## Prolog

*Zabór (Fürsteneich<sup>1</sup>), luty 1945*

Jechali przez rozległą wieś ze śpiewem na ustach, spoglądając na czmychających w popłochu mieszkańców z mieszaniną dumy i pogardy. Oto jesteśmy – zdawały się mówić ich twarze. Oto my, wasi wyzwolители i nowa władza w jednym. Władza radziecka, bratnia, choć lepiej powiedzieć: ojcowska. Z ręką twardą dla nieposłusznych i hojną dla uległych. Z witryn sklepowych tyły na nich portrety Adolfa Hitlera, pod oknami zaś, wydęte mroźnym wiatrem, trzepotały czerwone flagi z czarnym *hakenkrojcem*<sup>2</sup> w białym polu. Na jednej z wybrukowanych uliczek,

---

<sup>1</sup> Fürsteneich – niemiecka nazwa miejscowości Saabor (Zabór) została zmieniona przez administrację nazistowską w 1936 r. na Fürsteneich.

<sup>2</sup> Hakenkrojcz – z j. niem. Hakenkreuz, swastyka, czarny krzyż z hakowato wygiętymi ramionami, symbol powszechnie używany przez nazistów.

przyprószone świeżym śniegiem, wały się resztki sprzętu wojskowego, głównie rozbitych skrzyń, które najwyraźniej pospadały ze źle zabezpieczonych ciężarówek.

– Popatrz, *mładszyj* sierżant – zwiadowca zwrócił się do kaprała siedzącego na pace odkrytego gazika<sup>3</sup> – konserwy leżą na ulicy. A tam, o, rower. Tak gadziny przed nami uciekały. Kostia, słyszysz mnie?

– Co?! – krzyknął jasnowłosy żołnierz, nie przestając przebierać palcami po guzikach harmoszki<sup>4</sup>. – Nie zrozumiałem, Dima, powtórz!

Bohaterski krasnoarmiejec Konstanty Wasiliewicz Iwlew od niemal godziny grał co sił, zadowolony z głośnego śpiewu kamratów. Śpiewają, znaczy dobrze im gra. A poza tym chciał zagłuszyć odgłosy wybuchów pocisków moździerzowych dudniących gdzieś niedaleko. Nasi chłopcy tłuką hitlerowską zmiję ile wlezie, uśmiechnął się w myślach.

– Mówię, dowódco, że pozostawiły faszystowskie syny dobra wszelkiego! – gromkim głosem

---

<sup>3</sup> Gazik – lekki terenowy samochód, produkowany jeszcze w Związku Radzieckim, m.in. na potrzeby armii, nazwa zdrobniła od GAZ, czyli Gorkowskiej Fabryki Samochodów w mieście Gorki (Rosja).

<sup>4</sup> Harmoszka – rodzaj małego akordeonu, popularny rosyjski instrument muzyczny.

odpowiedział szeregowy Dymitr Pankow, dwa lata młodszy służbą od Iwlewa. Ledwie osiem dni temu stuknęła mu dziewiętnastka. – To wszystko nasze, prawda?

– Nasze, nasze – uśmiechnął się Kostia, przerwawszy wymachiwanie miechem instrumentu. – Nie odamy nikomu, prawda, *razwiedczyki*<sup>5</sup>?

– *Tak toczno*<sup>6</sup>, towarzyszu dowódco! – ryknęło pięciu chłopu.

Samochód zatrzymał się na niewielkim placu, za którym widniała kuta brama wiodąca na olbrzymi dziedziniec majestatycznej budowli. Konstanty Iwlew zagwizdał z podziwu.

– Toż to prawdziwy pałac, chłopaki. Kniazia<sup>7</sup> tutaj pod kluczem trzymali, czy jak?

Zdjął okulary w drucianej oprawce, chuchnął na szkła, po czym przetarł je rąbkiem koszuli wystającej spod pikowanej kurtki. W głowie mu się nie mieściło, że w cywilizowanej Europie mogli przebywać na wolności jacyś arystokraci. Mimo przetarcia szkieł pałac nadal wyglądał okazale.

---

<sup>5</sup> Razwiedczyki – z j. ros. zwiadowcy.

<sup>6</sup> Tak toczno! – z j. ros. tak jest!

<sup>7</sup> Kniaź – z j. ros. książę.

– Koniec zwiadu, towarzyszu lwlew? – zapytał któryś z żołnierzy.

Kostia przemyślał sytuację. Z jednej strony warto spenetrować książęcą budowlę, a nuż Niemcy nie wszystko wywieźli? No i kwaterę pułkownikowi wyszykować trzeba. Lepszej niż w pałacu nie znajdą, uśmiech losu, można powiedzieć. Z drugiej strony zwiad nie zakończony, nie wiadomo, czy gdzieś nie kryją się hitlerowskie niedobitki. Jakże tak wierchusz-kę<sup>8</sup> na niebezpieczeństwo narażać? W razie czego marny jego, bohaterskiego dowódcy, los.

– Wychodzić! – zarządził. – Ty, Grisza, też wyskakuj – zwrócił się do kierowcy. – My z Dimką pojedziemy dalej, do rogatek. Rozejrzemy się.

Dymitr Pankow uśmiechnął się szeroko na te słowa. Uwielbiał niebezpieczne zadania i cenił towarzystwo dowódcy.

– A my? Co mamy robić? – Grigorij Szulik, kierowca w randze starszego żołnierza, zmarszczył czoło.

– Wy, chłopcy, zdobądźcie dla nas pałac – Konstanty machnął ręką. – Tylko nie szabrować, nie pić

---

<sup>8</sup> Wierchuszka – z j. ros. zwierzchnictwo.



pałacowego wina i zachowywać się jak na komso-  
molców<sup>9</sup> przystało. Najlepszą komnatę szykujcie dla  
pułkownika.

– Największą, znaczy? – upewnił się Grisza.

– Najlepszą, czyli najcieplejszą. Z piecem albo  
kominkiem, żeby nam ojczulek Borys nie zamarł.  
I znajdźcie coś do jedzenia. Pozbierajcie puszki z tu-  
szonką, niech nie poniewierają się na ulicy, bo jesz-  
cze miejscowi rozkradną.

Żołnierze ochoczo opuścili pojazd, zabrawszy ze  
sobą broń i plecaki. Kuląc się, pobiegli w stronę pała-  
cu. Dima wskoczył na siedzenie kierowcy i urucho-  
mił silnik. Miał nadzieję, że dorwą jakiegoś dywer-  
santa, a może i kilku. Będzie okazja wykazać się, na  
medal zasłużyć, jeśli los łaskawy.

– Pruj naprzód – Kostia kiwnął głową w stronę  
kościółka. – Musimy się streszczać, bo chłopcy nie-  
pewni, mogą narozrabiać.

– Robi się.

Ujechali z pół kilometra, nie dostrzegłszy żadnego  
niebezpieczeństwa. Widocznie Niemcy nie zastawili

---

<sup>9</sup> Komsomolec – członek Komsomołu, organizacji młodzieżowej w ZSRR,  
w praktyce obowiązkowej dla wszystkich młodych obywateli.

żadnej pułapki. Kilkanaście metrów dalej drogę tarasowała rozbita, dymiąca wojskowa ciężarówka.

– Stój – *mładszy* sierżant podniósł rękę. – Wrak, nie widzisz?

Gazik gwałtownie zahamował, po czym okręcił się na śliskiej nawierzchni, o mały włos nie wpadłszy do rowu.

– Wybacz, Kostia, zamyśliłem się – sapnął przestraszony żołnierz. – Na konia patrzyłem – wskazał stojącego na łące smukłego araba. W śniegu się pasie, czy jak? A może uciekł spłoszony hukiem?

Dowódca patrolu nie odpowiedział od razu. Z poważną miną przyłożył lornetkę do oczu i obejrzał teren. Skrzywił się na widok leżących ciał. Wróg to wróg, ale też człowiek, jakby nie patrzeć.

– Diabli z tym koniem, Dima, ważniejsze, co na drodze. Podjedź ostrożnie, nie wychylaj się. Ja pobiegnę bokiem.

Zdjął z pleców kałasznikowa, kiwnął Dimce, by jechał, a sam wskoczył do rowu wypełnionego przemarzniętą śniegową breją. Kiedy dobiegł na miejsce, Dymitr już tam był. Pochylał się nad jęczącym żołnierzem w ciemnozielonym mundurze. Nieco dalej, niemal dokładnie pod ciężarówką, leżał drugi,



*Unteroffizier*<sup>10</sup> z pewnością martwy. W zaciśniętej dłoni trzymał granat ręczny DM 51<sup>11</sup> z wyciągniętą zawleczką. Granat nie był groźny, póki spoczywał w zeszywniałych palcach nieboszczyka. Z kabiny kierowcy zwiślał głową w dół jeszcze jeden, w stopniu *Gefreitera*<sup>12</sup>.

– Co jest?

– Ot, zaraza, ciągle żyje – skrzywił się Pankow. – Dobiję, niech się nie męczy.

Przetądował karabin, ale Kostia dał znak, by się wstrzymał.

<sup>10</sup> Unteroffizier – w ówczesnej armii niemieckiej odpowiednik polskiego plutonowego.

<sup>11</sup> DM 51 – niemiecki granat uniwersalny.

<sup>12</sup> Gefreiter – kapral.

- Coś mówi, zaczekaj.  
Pochylił się nad rannym i nadstawił ucha.
- Rozumiesz po niemiecku? – wykrztusił tamten na płytkim oddechu. – Pomóż mi.
- Rozumiem, mów.  
Żołnierz oblizał spierzchnięte wargi z bolesnym grymasem. Oberwał w brzuch odłamkiem pocisku, jego czas kończył się, ale nie zdawał sobie z tego sprawy.
- Zabierz mnie do szpitala – szepnął z wysiłkiem *Wachmeister*<sup>13</sup>.
- Co on tam szwargoce? – zainteresował się Dima, próbując rozsznurować plandekę ciężarówki. Było to trudne, ponieważ sznury zeszywniały od mrozu.
- Chce do szpitala.
- Mogę go wyleczyć od ręki, ołowiec.
- Posłuchaj – jęknął ranny. – Powiem coś, a ty zabierz mnie do szpitala, dobrze?
- Najpierw powiedz – Kostia pokręcił głową. – Może zabiorę.
- Jest skarb... – źrenice żołnierza rozszerzyły się nagle. – Wielki skarb...

---

<sup>13</sup> Wachmeister - wachmistrz.

– Gdzie ten skarb? – kapral nachylił się nad nim jeszcze bardziej, by nie uronić ani słowa.

– Szpital... obiecaj...

– Słowo komsomolca, że się tobą zaopiekuję – dowódca zwiadowców klepnął się w pierś. – Gdzie skarb?

Ranny spojrzał na niego z cierpieniem i uwagą, jakby starał się dostrzec znamiona prawdomówności. Wreszcie przemówił, powoli, coraz ciszej. A potem jego oczy zaszyły mgłą.

– Na pewno tam jest? – upewnił się Kostia. – Hej, germaniec, ocknij się – poklepał leżącego po zimnym policzku. – No masz, uciekł – westchnął.

– Co, do piekła poszedł? – Dima właśnie kończył rozcinanie sznura ostrym bagnetem.

– Aha – Kostia wstał i podszedł do kolegi. – Jak idzie?

– Skończyłem.

Plandeka rozchyliła się, ukazując poukładane skrzynie, kilka z granatami, inne nieoznaczone. Dwie z nich leżały tuż przy krawędzi naczepy, pęknięte od upadku.

– Co my tu mamy? – Dima wsunął bagnet w szczelinę między deseczkami. – Jakby talerze...

W tym momencie nad ich głowami rozległ się warkot nadlatującego samolotu.

– Popatrz, dowódco, nasi – ucieszył się Dima, wskazując na nisko lecący myśliwiec. – Hej, zwiadowcy pozdrawiają lotników! – wrzasnął, machając czapką.

– Ot, głupek – uśmiechnął się Kostia. – Przecież cię nie usłyszą.

– Nie usłyszą? No to zaraz usłyszą – Dymitr chwycił w dłonie karabin i oddał kilka strzałów na wiwat.

– Oszalałeś? Do swoich strzelasz? – jęknął Iwlew. – Jeszcze się nie poznają na żartach i dopiero się narobi.

– Co się nie poznają – zachichotał strzelec. – Już się poznali, bo zawracają.

Myśliwiec obniżył lot, a kiedy był już blisko, posłał w ich kierunku długą serię pocisków dużego kalibru. Nie zdążyli się ukryć, ba, nawet nie zdążyli zauważyć, że właśnie ruszyli w długą podróż śladem niemieckiego żołnierza, który obiecał im skarby.

Minęło kilka minut, nim zza przydrożnego dębu odważył się wyjść mniej więcej dziesięcioletni chłopiec drobnej budowy, o przerażonych oczach i pobladłej twarzy. Starając się nie patrzeć na zabitych